

życie teatrem

WROCŁAWSKI Teatr Polski jest na fali. Najwyraźniej wiedzie się młodemu dyrektorowi. Sam odniósł sukces jako inscenizator „Janulki” Witkacego, okraszony na Opolskich Konfrontacjach nagrodami i wyróżnieniami, a i innym przy Jacku Bunsch, się wiedząc. Nie przynoszą teatrowi ułmy ostatnie premiery na scenie kameralnej: „Dwu głów ptaka” Władysława Terleckiego w reżyserii Ewy Markowskiej ani „Karnawału” w autorskiej reżyserii Giovanniego Pampiglione, Wolterowski „Kandyd” zaś w realizacji Macieja Wojtyłki stał się wrocławskim przebojem sezonu. Chciałbym dziś nieco uwagi poświęcić dwu ostatnim pozycjom.

W DIALOGU Z PUBLICZNOŚCIĄ

Wiele jest skrywanych i głoszonych poglądów na teatr. Są też bardzo różne rodzaje teatru. Każdy jest jednak zanurzony w tym samym strumieniu czasu. I każdy, choć niekoniecznie na ten sam sposób, wyraża jakoś swój czas. Idziemy do teatru, żeby się rozerwać, wzruszyć, czegoś nauczyć, ale idziemy także żeby coś sprawdzić. Sprawdzić, gdzie żyjemy i kim jesteśmy. W teatrze bowiem odwzorowuje się realna rzeczywistość. Teatr pulsuje rytmem swego czasu. Kto ma na to wyostrzony „słuch”, odbiera to nawet w złym teatrze, na nieudanych przedstawieniach. Zresztą w swoich błędach, wypaczeniach, fałszach teatr też wyraża ogólniejsze trendy epoki. Z pewnego więc punktu widzenia każda wizyta w teatrze może przynieść pożytki poznawcze, choć wolimy je wynosić z przedstawień dobrych, a nie złych.

Istnieją tacy mądrzy ludzie, którzy zawsze wiedzą, kiedy przedstawienie jest udane. Są bowiem pewne, przynajmniej na poziomie elementarnym bezdyskusyjne, kryteria, którymi można wymierzyć warsztatową poprawność aktora, jakość rzemiosła reżysera i innych współtwórców przedstawienia. Jeśli wszyscy otrzymają plusy, a różne elementy składające się na widowisko są ze sobą zharmonizowane, no to mamy udane przedstawienie; gdy jest inaczej, to przedstawienie jest częściowo lub zupełnie nieudane. Bardzo to proste, prawda? Ale ja mam z tym zawsze kłopot. Zdarza mi się bowiem, że nudzę się jak mops na bardzo „udanych” spektaklach, a bywa, iż zafrapuje mnie „poronione” dzieło. W obu wypadkach na nic mi się zdają nauki moich mistrzów i te wszystkie przerobione na blachę kryteria. Jako opisywacz teatru powinienem się tego wstydzić. Jako widz uważam, że to w gruncie rzeczy wspaniale.

Uważa się, że jest wielu kreatorów teatru. Można jednym tchem wymienić wśród nich autora sztuki, reżysera, aktorów,



Dobra passa Teatru Polskiego zaczęła się od przedstawienia „Janulka, córka Fidejki” Witkacego.

NA FALI

Tadeusz Buski

publicznością a twórcami, żywy, inspirujący, nośny od pierwszej do ostatniej sceny.

W tym przedstawieniu możemy się sobie przyrzeć niczym w lustrze. Nie mam na myśli treści ani tego, co może na nas oddziaływać jak satyryczna aluzja. Myślę o tym, co w nim podskórnie. Ujawniają się w nim nasze aktualne potrzeby i tęsknoty, rozładowują różne bolesne napięcia. Jakże to potrzeby, tęsknoty i napięcia?

Patrząc na aktorów, ale także spoglądając — w kontekście przedstawienia — na siebie samego, można to ująć tak: żyjemy ostatnio bardzo jednostronnie, poważnie, by nie rzec ponuro. Uchodzi naszej uwagi jednobiegowość tej egzystencji. Jakbyśmy zapomnieli, że bez śmiechu i zabawy nie istnieje prawdziwa powaga, bez dystansu bliskość, bez spontaniczności dyscyplina, bez doświadczania wspólnoty prawdziwa prywatność czy intymność. Przedstawienie „Kandyda” doświadcza nam o tym przypomina i do wartościowuje o to, czego nam właśnie nie dostaje. Nie jest to zwykle odśmianie, po amerykańsku; jest to rzeczywiste dopełnienie. Teatr wyjątkowo trafnie wymierzył w potrzeby swojej widowni, wszedł — że powtórzę raz jeszcze — z nią w dialog.

Bunsch, o ile wiem, decydując się na tę pozycję repertuarową, myślał o ambitnym, ale tzw. komercyjnym przedstawieniu. Okazało się zaś wydarzeniem również o zastanawiających skutkach psychologicznych i socjologicznych.

Z NUTĄ NOSTALGHII I MELANCHOLII

Autor i reżyser wystawianego na scenie kameralnej „Karnawału” nazywa się Giovanni Pampiglione. Z krwi pół-Włoch, pół-Francuz, z wyboru może ćwierć-Polak. W każdym razie w Polsce studiował, robił pod kierunkiem prof. Korzeniowskiego dyplom (znakomite przedstawienie „Slugi dwu panów” w Jeleniej Górze), reżyserował w teatrach Warszawy, Krakowa i Wrocławia. Krążąc pomiędzy ojczyzną a krajem swoich studiów, we Włoszech popularyzuje polską kulturę (głównie Witkacego), u nas najczęściej reżyseruje sztukę włoską, zwłaszcza nawiązując do tradycji commedii dell'arte. W tej tradycji sytuuje się również jego własna sztuka „Karnawał”.

Pampiglione ożywia na scenie współczesnego teatru dawnych bohaterów: Arlekina i Colombine, Pantalone i Doktora, jednakże nie dla rekonstrukcji starego teatru, ale dla konfrontacji z naszym światem. Są to bohaterowie, którzy przekroczyli barierę czasu i barierę kultur. Po dawnemu niby zabawni i rubaszni, ale też skażeni jakąś nostalgią, zadumą, skłonnościami do wybiegających poza zabawę lub satyrę refleksji poetycko-filozoficznych.

Postacie pouბierał wierny współpracownik Giovanniego Jan Polewka — efektownie i pięknie. Wśród aktorów oglądamy zarówno debiutantki z PWST Beate

przerastając sami siebie? W pierwszej chwili człowiek jest gotów przyznać, że chyba, że na pewno tak właśnie jest. Bo oglądamy na scenie siedemnastu aktorów i każdy jest świetny. Żaden nie razi, nie odstaje, nikomu nie można zarzucić, że nieumiejętnie potraktował czy zinterpretował rolę. Ba, ale przyjrząwszy się dokładniej, zauważymy, że prócz kilku wyjątków (z których całkiem wyrazisty jest jeden: Stanisław Melski jako Kandyd) właściwie w tym przedstawieniu nie ma klasycznych ról, jest tylko mnóstwo płynnych epizodów. Wcale nie jest prawda, że występuje siedemnastu świetnych aktorów. Występuje jeden, naprawdę znakomity aktor zbiorowy, zachowujący się jak chmury na niebie w wietrzną pogodę, z których co rusz wylania się coś konkretnego, by po chwili się rozwiać lub przekształcić (por. „Pan Tadeusz”, Księga III, w. 634—653). Wojtyłko nie jest ich reżyserem. Jest wiatrem. Daje to efekt wdzięczny, zabawny, czasem liryczny. Ale

Uważa się, że jest wielu kreatorów teatru. Można jednym tchem wymienić wśród nich autora sztuki, reżysera, aktorów, scenografa, kompozytora muzyki, choreografa itp. Ale tak naprawdę jest tylko dwu kreatorów teatru. Jednym jest autor zbiorowy, czyli ci wszyscy wyliczeni przed chwilą twórcy. Drugim jest publiczność. W procesie dialogu, jakim jest teatr, są to partnerzy równorzędni. Oni muszą być równorzędni, gdyż inaczej nie może być mowy o dialogu, co najwyżej o jego namiastce lub parodii, której wiele przykładów znamy tak z życia, jak z teatru.

Partnerzy dialogu powinni być wobec siebie otwarci i odpowiednio zestrojeni. Znaczący to m.in., że muszą rozmawiać językiem dla obu stron zrozumiałym, słyszeć nie tylko siebie, ale — przede wszystkim! — głos partnera, no i mówić o sprawach, które partnerów jednakowo obchodzą. Partnerzy mogą być nierówni pod względem intelektualnym i estetycznym przygotowania, o zupełnej tak rozumianej równości uczestników jakiegokolwiek dialogu w ogóle mowy być nie może, ale to nie jest żadną przeszkodą. Zasadniczą przeszkodą bywa tylko brak zestrojenia. Wobec tej sprawy wszystko inne jest w teatrze wtórne.

Myślimy niekiedy, że to, co składa się na artyzm dzieła (czy teatralnego, czy jakiegokolwiek innego), owa precyzja wykonawcza, erupcja wyobraźni, kolorystyka, ornamentyka, metaforyka, technika wykonawcza i podobne elementy decydują o jego wartości, że to dla nich sięgamy po książkę lub zachwycamy się konkretnym przedstawieniem. Otóż im starszy jestem, tym bardziej stanowczo sądzę, że to tylko złudzenie. Wszystkie te elementy to tylko instrumentarium dialogu i składniki jego języka. W rzeczywistości nie chodzi jednak ani o instrumentarium, ani o język, tylko o dialog, który się nawiąże lub nie. Oczywiście instrumentarium może być czasem samo w sobie frapujące, jak oliwskie organy. Pamiętajmy jednak, że na tych organach można fałszować jak na każdym innym, a pewnemu genialnemu skrzypkowi udało się porwać słuchaczy grą na jednej strunie, bo był z publicznością w dialogu.

Snuję ten swój „wykład” z pogranicza herezji jako wprowadzenie w fenomen „Kandyda” na scenie Teatru Polskiego. Jest to bezdyskusyjny sukces. Publiczność wali na to nieprzytomnie, a owacjom nie ma końca. Recenzenci są zachwyceni. Ja sam przeżyłem chwilę szczęścia, jakby mi z grzbietu ubył dwadzieścia lat.

Co się właściwie w Teatrze Polskim stało?

Może objawił się wyjątkowy talent reżyserski i wynaleziony został nowy rodzaj teatru? Do talentu i wyobraźni Macieja Wojtyzki nie można mieć zastrzeżeń. Przeciwnie. Po „Kandydzie” będę z

zainteresowaniem, sympatią i zaufaniem obserwował jego następne prace w teatrze. Wszakże o wyjątkowej skali tego talentu byłoby wyrokować przedwcześnie. A tym bardziej o inscenizacyjnym odkryciu. Wojtyzko dokonał tylko nader udanego przeszczepu (może sam o tym nie wiedząc) na profesjonalny grunt czegoś, co gdy był jeszcze sztubakiem, było żywiołem teatru studenckiego, a w czym kiedyś celowali m.in. Litwiniec i Jasiński. Jest to nieba-

gatelne osiągnięcie i nie on jeden tego próbował. Trudności można porównać do tych, jakie towarzyszą przeszczepom serca. Organizm tradycyjnego profesjonalnego teatru ma skłonności do odrzucania takich przeszczepów. Tym razem nie odrzucił. A z nowym sercem sam nabrał wigoru i wdzięku; najwyraźniej odmłodził.

A może zdarzyło się jeszcze co innego? Może aktorzy wzniesli się ponad poziomy,



...sukces jest skutkiem znakomitego zestrojenia sceny z widownią. („Kandyd”, scena zbiorowa).

kształcie (por. „Pan Tadeusz”, księga III, w. 634—653). Wojtyzko nie jest ich reżyserem. Jest wiatrem. Daje to efekt wdzięczny, zabawny, czasem liryczny. Ale czy to wystarczy, aby wyjaśnić tajemnicę tego sukcesu?

Z moich przemyśleń wynika, że wszystkie wymienione wcześniej elementy i cechy tego przedstawienia przynależą do trafnie zestawionego instrumentarium. Natomiast sukces jest skutkiem znakomitego zestrojenia sceny z widownią. „Kandyd” jest przedstawieniem, w którym teatr pulsuje rytmem swego czasu i w którym nawiązuje się dialog pomiędzy

cownik Giovanniego Jan Polewka — efektywnie i pięknie. Wśród aktorów oglądamy zarówno debiutantki z PWST Beate Rakowską i Agnieszkę Grankowską, jak i dojrzałą młodzież z bardzo sprawnym, acz i nieco schematycznym w roli Arleki-na Krzysztofem Draczem, jak i wytrawną parę doświadczonych aktorów Jadwigę Skupnik (Matka-Doktor) i Andrzeja Hrydzewicza (Ojciec-Pantalone). Przedstawienie rozkręca się z wolna, by nabrać żywiołu commedii dell'arte dopiero po przerwie. Stałe jednak odnosi się wrażenie, że tym razem nie o ten żywioł i zabawę idzie.

Pampiglione przedzie na pięciolini. Składają na nią: nostalgia, liryka, refleksja filozoficzna, a dopiero za nimi commedia dell'arte z jej dynamiczną energią i rubaszością. Odnosi się wrażenie, że dla autora i reżysera w jednej osobie jest to przedstawienie bardzo osobiste, prawie intymne, jak obrachunek z dotychczasowym życiem, sumowanie doświadczeń i przemyśleń, rzut oka na drogę pomiędzy bujną młodością a jakąś gorczą przyprawioną dojrzałością.

Nie wiem, ile Pampiglione ma lat. Wydaje mi się moim rówieśnikiem, więc człowiekiem wchodzącym w smugę cienia. I zdaje mi się, że jako reżyser ucieleśnia to doświadczenie na scenie, nie tyle w warstwie treściowej co w warstwie nastrojowej swego przedstawienia. Jest mi to jakoś bliższe. Czuję to i chyba rozumiem. Zarazem nie wiem, na ile to się przebija do widowni młodej i czy ją to dostatecznie interesuje.

Posiwały już nam włosy Giovanni, a tyle jest jeszcze do zrobienia, do przemyślenia, do nauczenia się. Obrócił się klepsydre. Piasek przesypuje się tak samo, a jakby szybciej. Weszliśmy w wiek, który psychologowie nazywają wiekiem ostatniej szansy. To ten wiek, w którym zdarzają się mężczyznom różne wielkie głupstwa, czasem ważne przełomy, niekiedy szczytowe osiągnięcia.

„Karnawał” to skromne przedstawienie. Samo w sobie nie będzie zbyt wiele wazyło w życiu teatralnym Wrocławia ani w życiorysie Pampiglionięgo. Czuję w nim jednak odbicie jakichś przewartości, ożywień w sercu i umyśle twórcy. Ciekawe, czy to prawda i ku czemu to prowadzi.

Teatr Polski we Wrocławiu: „Kandyd” czyli „Optymizm” Woltera w przekładzie Tadeusza Boya-Zeleńskiego. Adaptacja: Krzysztof Orzechowski i Maciej Wojtyzko. Piosenki: Maciej Wojtyzko. Muzyka: Jerzy Derfel. Obracowanie muzyczne i aranżacja: Janusz Wichrowski. Scenografia: Zofia de Ines-Lewczuk. Reżyseria: Maciej Wojtyzko.

Teatr Polski we Wrocławiu (Scena Kameralna): „Karnawał” Giovanniego Pampiglionięgo w przekładzie Joanny Walter. Scenografia: Jan Polewka. Muzyka: Janusz Wichrowski. Reżyseria: Giovanni Pampiglione.

Zdjęcia: Adam Hawatej